Appenszlak Mowice polskiej

JAKÓB APPENSZLAK.

MOWIE POLSKIEJ

POEMAT.

WARSZAWA,
1915.

Cena 15 kop.

Дозволено Военной Цензурой, г. Варшава, 25 Іюня 1915 г.

Druk „Gazety Handlowej", Warszawa, Szpitalna 10.

I.

Słyszę już północ bijącą śród wątłych gajów młodości,
O wiośnie przekwitającej—głód czynów drogę mi mości,
Zbudzony, wstaję na groźny wyrocznych przeznaczeń mych zew.
Powracam do cię, narodzie, po marnotrawnej podróży,
Ja, com cwałował na wichrach i z pałających ust burzy,
Pił buntu kipiące wino, by rozgrzać wystygłą krew.

O, mowo polska! Tyś była między skałami zatoką,
Ścigany okręt korsarski przyjęłaś ciszą głęboką,
Odarte maszty, posępnym uśmiechem jesiennych nieb.
I kiedym uszedł rozbicia, ja, semickiego syn ludu,
Przed arką samotną Syonu śpiewałem gorzką pieśń trudu
Mową lechicką, zawitą w całuny hebrajskich krep.

Coś się zostanie u ciebie, Polsko, z wichru mych myśli,
Żrący kwas Judy rozdartej na tych cokołach nakreśli,
Z historji dumy zgnębionej, werset piołunnych słów.
Lew znikczemniały tu nocą na gwiazd się wieszał zaplotach
I wił się z bólu rozterki, w kosmicznych szarpał tęsknotach,
Zdziczały w gąszczach, gdy zdawna zajadły go tropił łów.

II.

Rzeczypospolitej widzę cień na granitowem wzniesieniu,
Wpatrzon w zaułek niewoli. Cień wielki przy karlim cieniu
Ghetta dawnego, w złym blasku synagogalnych świec.
Tam, w błocie gniło żydowstwo z daremną męką genjusza,
Zwolna płowiała myśl ludu i w nędzy spróchniała mu dusza,
Aż musiał na obcej ziemi żyd w gada postaci ledz!

Wąż głodu i prześladowań w oślizgłe ściskał pierścienie
Brudny zaułek. W oddali dziejów zgarbione tam cienie,
Chyłkiem sunące dostrzegam i ciężki zdejmuje mnie wstyd.
Czasem młodzieniec z ghetta uciekał, w myślach samotny,
Świat mu się zwidział daleko, jak chmury lotny,
Nie ten kamienny Zakonu, strzeżony u zimnych płyt.

I biegł struchlały od brzęku rozerwanego łańcucha,
Bo łańcuch ów był tętnicą z narodu serca do ducha
Jego. I patrzcie! Dziś płacze pośród sprzedajnych dróg.
W dniu, gdy rozeszło się ghetto, na Europy bezdroża,
Na wspak się naród rozpłynął, jak rzeki idące z morza,
I gasi go w piaskach jałowych, zemściwy judejski Bóg,

I cudzym kosztem żyjący do obcych idziecie stosów
Płonących śród zgiełku stolic. Lud wieńczy czoła kołosów
Pstrych, sprzyjających podstępnie tłuszczy co chce sytych dni.
Hańba ci tańczyć Salome proroków świętą ekstazę,
Gdy lud twój czczość swą przemyca, straszną zarazę
Bezdomnych sieje i tylko drwić umie, ze siebie już drwi.

Z pobożnych dzielnic ostatni wynijdź wasalu Jehowy,
Na nowe życie, skroń słońcu poddaj. Z twej głowy
Niechaj wypije myśl czarną śródgwiezdny jutra ptak.
Stróże posępni zakonu, zamierający w modlitwie
W śmiertelnych gzłach — niechaj w bitwie
Krew mego ludu zakwitnie w zwycięstwa kraśny mak!

Biada kamiennym cmentarzom, gdzie tlił się blady kaganek
Ludu mojego instynktów. O, siny w bóżnicy ów ranek
Sobotni... Gdzieżeś radości syońska, gdzie nad Pieśniami Pieśń?
Jak u nas chłodno! Któż pierwszy otworzy wiośnie
Wrota bóżniczne? Kiedyż twa duma wyrośnie
W czyn gniewu i przetniesz mieczem niewoli stęchłą cieśń,
Narodzie zdrajców, kramarzy, tchórzliwy narodzie ty!

III.

Wszystka jesteś piękna przyjaciółko moja, a niemasz w tobie zmazy. Pódźże z Libanu, oblubienico moja, pódź z Libanu, pódź, będziesz koronowana z wierzchu Amana, z wierzchu Sanira i Hermona, z łożysk lwich, z gór rysiów.

„Pieśń nad Pieśniami" Salomona. Rozdz. 4.

Miriam w szacie czerwonej,
Aktorko żydowskich scen,
We cztery świata strony,
Wlokąca ghetta sen!

Tyś kwiatem semickiej rasy,
Tyś lampą antycznych cech,
Zamierzchłe widziałem czasy
W twych oczach, ruiny i mech,

I lato, gdy Sulamita
Kochała. Odległych dni
Kronika w oczach wyryta,
Pod dumną attyką brwi.

Aż w żargonowym teatrze,
Znalazłaś jaskrawy twój tron,
Żądz czerwień, smutki najrzadsze,
Namiętność wezbranych łon,

Krzyk targów, brzękadła rozpusty,
Oblekłaś w królewski płaszcz gry.
Na dumę narodu co spał,
Pożarem rzucałaś swój szał,
Pobudki ogień i skry.

Z chorągwią widziałem cię we śnie
Śród miasta kamiennych ark,
Nad tłumem co spodlał przedwcześnie.
Wydało mi się, że jesteś,
Żydowską Joanną D'Arc!

Wybiegła królewska sarenka
Z dzielnicy potu i mąk,
Z parjasów, których los nęka,
Gdzie płacz i mozół rąk,

Gdzie może dotąd istnieje
Jakiś książęcy nasz ród.
Świetność potężnych w knieje
Przeszłości gna hańba i głód...

Lecz nie! Krew ludu niebieska
W tobie! Jej deszcz na cię spadł.
Jak Sulamita królewska
Na łąkach Galaad,

Tyś oblubieńca znalazła
W miłości rozdartych stad,
Judy, gdzie Bogiem dziś kieska
I księciem — kto kupczył i kradł!

Nieraz zapalał się stosem
Słów ogień. Przed tłumem mdłych dusz,
Płonęłaś, Miriam, patosem,
I niosłaś pospólstwo w cwał burz.

Patrz! Tłum się zmienia. Poznaje
Swej rasy przedwieczny typ,
I dawną siłę, nim w kraje
Obce powrastał jak grzyb.

Miriam w szacie czerwonej,
Aktorko żydowskich scen,
We cztery świata strony,
Niosąca ghetta sen,

Córo wagonów, okrętów,
Włóczęgo z dalekich dróg,
Wśród tej epoki zamętów
W talentu zadmij róg!

Niech sztuki żydowskiej gong dzwoni,
Wyrzutków rodzin i klas,

. . . .

Narodzie żydowski! Już czas!...

Dość długo ciągnęła się sprawa
O równość w Europie, czczy targ!
Niewolnik nie godzien jest prawa,
Bezdomny, co w jarzmo dał kark!

Bezduszni! W narodach tej ziemi,
Rozpuścić się chcecie, jak sól,
Ustami tak sprzedajnemi
Fałszywych uczyć się ról!

IV.

Nocy tej upływają godziny,
Łodziami czasu po widziadeł rzece.
Miasto usnęło już.
Z poddasza wychylam głowę,
Z wierzchołka kamiennego lasu.
Błyszczą złowrogo tramwajowe szyny
Chłodem mieczów,
Wiją się, zagłębiają
W pstrych szyldów dzielnicę,
Gdzie gnieździ się żydowstwo,
Lud który nic nie ma,
Jeno tę ulicę —
Sprzedajną i splugawioną,
Głodną odpocznienia,
Jak nierządnicy łono.
I coś jeszcze —
Księgę ksiąg...

Po dniach wrzasku i zdzierstw,
Przypływa korweta soboty,
A lud mój obmywa niewolę swych rąk,
Proroków otwiera sny wieszcze,
Starożytne wierzeje tęsknoty.

W tę fatalną noc mojego życia,
Nad sturamienne wysyłam arki miasta
Okręty spojrzeń, dwa statki odkrywcze.
Wyjdź duszo ulic z ciemnej wnęki,
Gdy wszyscy śpią
I my tylko czuwamy
Bezsenni
U starej, pękniętej bramy.
Ah! Są okna, które jeszcze żółcieją,
Nie wszyscy usnęli! Głuchą knieją
Ich dusze, wiecznie otwartą przechodzącym burzom!
Młodzieńcy nad talmudami,
Synowie handlarzy,
Marzyciele ghetta,
Odurzający się wiedzą Europy,

I wy, młodzi syoniści, którym się marzy
Palestyna — z myślami, skłóconemi w męce,
Samsonowie chcący zwalić na się z kolumn stropy
Ja z wami! Podajcie mi ręce!

Patrzmy! Patrzmy! Przy oknie w wysokim fotelu
Siedzi prababka iskrząca się od djamentów
Ze zmarszczkami, kędy chodziły czarne myśli,
O synach bezdomnych, o nas, o Izraelu.
Huczały pogromy. Bocznemi drogami, nie tyś-li
Prababko widziała, uciekających Judaszów
Ku stolicom by sprzedać pierworództwo,
Zatrzeć chrzestem pochodzenia koleje,
Za spokój sytych, za ich przywileje?

Prababko, czemu nie śpisz? Niebawem zadnieje,
Tyś zmęczona, stuletnia. W przepychu rajskiego ptaka,
Świecąca rubinami, ognistym czepcem ocieniona,
Szlachetna, wiodąca swój ród od królów,
Kto wie, może od którejś żony Salomona?
Prababko, stary ptaku rajski, o czem myślisz?
Nim świt nadbiegnie, pobłogosław me losy,
Dłonią wyschniętą, jak rzeźbioną z kości
Dławiący płacz mój ucisz. Pobłogosław
Na przyszłe boje, na ognie i rosy,
Na krew i na zwycięstwo!

Spójrz, prababko! Widzisz go? Z rozdartych chmur wyjeżdża
Na białym koniu. On! Poznaję! Kamienna droga
Odwija się z pod kopyt i spływa ku miastu.
Jego czoło zdaje się być wiekiem skrzyni pełnej ognia.
Chłodne oczy we mnie wbija, rzuca mi miecz,
I godzi we mnie piorunem namaszczenia.
Tam, ponad dachami rozświetla się wieża strażnicza,
Krwawem światłem uderza na trwogę,
Lud wyrasta w wojownika,
Naród, płaza kreta.

Prędzej!
Obalcie kramy, zdruzgoczcie bóżnice,

Przez bramy hańby, przez ciasne ulice,
Wychodzisz Izraelu z niewoli,
I kołysze się twa święta chorągiew,
Którą chowałeś od stuleci.

. . . .

Prababko. Ogrzej palce na mem czole,
Nim łańcuch skruszę,
Zanim wyruszę
Po przyszłość Judy, na bojowe pole!

V.

Mowo polska! Z burz Mickiewicza, z twardego gniewu Norwida,
Urosłaś w kościół wolności. A teraz w prawicy żyda,
Tyś mieczem buntu, legjonem walczącym dla cudzych spraw.
Tobą, o mowo, dziś głoszę . . . .
Tyś mnie, na Syonu, odniosła, dawne przystanie,
Jak księżyc sprawiłaś we mnie przypływ kipiących law.

Pod gmachem Polski młodości ranek przetrwałem w drzemocie,
W liczmanach tłuszczy mieszczańskiej, zanim w przewrocie
Wojny narodów — naród ujrzałem, jako najświętszy cel.
I z ciebie, Polsko, przykład mi płynie, jak odkopywać prazdroje
Rasy instynktów podziemnych. Ja też Monsalwat mój roję,
Żyd w Polsce wychowan, wołam popolsku: O, wciel

Się we mnie duchu Mojżesza bym Judę mógł wywieść z niewoli,
Do starej kolebki, do ruin świątyni, przez zrujnowane podwoje,
By się podźwigła i korzeń wraziła w pierś palestyńskiej roli
Po tysiącleciach rozdarcia, tonących w męczeńskiej krwi.
Dziś niechęć twoją do nas, rozumiem, Polsko. Z pogardy,
Niechęć ta wyszła. Do hermafrodyty wieków, hardy
Naród lechicki wstręt żywił, jakim napawa gad,
Co wpełzał do cudzych serc żyłami tylu lat...

Oh, długa próżność żydowska! Jak duszno, jak ciężko mi było
Dajcie mi z dzbana przyszłości, [w niej żyć!...
Z jutrzejszych dni obfitości
Czerwoną nadzieję mą pić!...

* * *

Słyszę już północ bijącą śród mrocznych gajów młodości,
O wiośnie, we krwi skąpanej, głód czynów drogę mi mości,
Zbudzony, wstaję na groźny wyrocznych przeznaczeń mych zew.
Widzę cię Judo strudzona w dzwonnym, zwycięskim pochodzie,
Na słodkie równie Saronu, widzę cię znowu narodzie,
Na ziemi ojców, na starym lądzie, gdzie dał nam przymierze swe
[Bóg.
Gdzie czeka chram Salomona, zuchwałych, odrodczych kielni
I słońce chłopcom proroczy, by rośli twardzi i dzielni,
Na żywy mur Palestynie, godzący — jak żywy łuk.
Gdzie może dotąd przy studni spoczywa dzban Racheli,
Lub widmo grzesznej
A Eljasz rozbija słońca oślepiające drzwi...

Lecz ty me serce ustaniesz w dżdżystej krainie ucisku,
Ah, tobie kulą ognistą po zdarzeń lecieć kolisku
Dni Izraela i zgasnąć, nim przyszłość wyrośnie z krwi...

— — — — — — — — — — — — — —

...Noc umiera za rzeką. A stamtąd, skąd przylecą białe gońce rana
Słyszysz, idzie pieśń — —

— O, Chanaan, Chanaan, ziemio obiecana...

Warszawa. Maj. 1915 roku.